Rozmaitości

DNIA 13. CZERWCA Ner 24. 1835 ROKU.

ZAMEK LIBUSZA.

Powieść z czasów Leszka Czarnego.

U stóp wysokiego wzgórza, gdzie dzisiajszémi czasy schludne domki składają się w małe, ale handlem ożywione miasteczko Ciężkowice; nie daleko rzéki Białej stało w trzynastym wieku nizkie, słomą poszyte domostwo. W tém miejscu samotném, nieprzebytym lasem i niedostępnémi góry od świata przedzieloném, mieszkał onego czasu Zygwult, panek dzierzący łano wyrębu, na orne pole obróconego.

Zwiérz wykradziony z lasu, od ziemi, źle odpłacającéj rolnika prace, wyżebrane ziarno, i małe, kilku poddanych daniny, składały cały szczupły dochód dziedzica; którego ojciec był panem zamożnym, wysokie piastował urzędy i obszérne posiadał imiona. Atoli burzliwy z natury, stał się winnym ciężkiego przestępstwa; wyświecony z kraju za popełnione zbrodnie, dokonał żywota w tułactwie i nędzy; synowi swojemu zostawując imię tylko i pamięć dawnéj imienia tego świetności.

Młody Zygwult, służąc królowi wojskowo, i w kilku potrzebach potykając się mężnie; wyżebrał u tegoż ojcowskich posiadłości cząstkę jednę, wojtostwo Słoboda zwane; ale zamek Libusza, Zygwultowego imienia gniazdo, z komory królewskiéj przeszedł w posiadanie dziedziczne Siestrzemiła, herbu Dołęga, skarbnika sandomirskiego.

Byłato noc jesienna i pochmurna roku 12.., w nizkiéj i czarnéj komorze, domu wyżéj wspomnianego, spoczywała młoda Zygwulta małżonka, imieniem Rozalka. Przy jéj łożu w kolebce leżało snem ujęte dziécię, i dwie służebne na ziemi, na słomie. Kury zaledwie po raz piérwszy się ozwały; z ciężkiego snu przebudzona, zerwała się Rozalka, i głębokie z serca wydając westchnienie, smutnym poddała się myślom. Uspiona na chwilę tęsknota i niespokojność o męża od kilku tygodni nieobecnego, obudziła się na nowo, i jęła trapić czułe i troskliwe serce niewiasty.

Cisza była w izbie; o czujne ucho Rozalki obił się jakiś szelest głuchy, i posłyszała szeptanie rozmawiających na podwórzu osób coraz głośniejsze. Dręczona niepokojem powstała z łoża, i do okna zaledwie jednym się zbliżyła krokiem; poznała głos Zawiły, włodarza pańskiego, i drugi głos, milszy, głos męża.

»Zygwult! mój Zygwult powrócił!« zawołała i ku drzwiom biegła. Odchyliły się drzwiczki, i cichym, wolnym krokiem wstąpił do izby Zygwult. Księżyca światło przez okna szczelinę wciskając się do izby, oświécało rycérza postać, i twarz jego bladą, pomieszaną.

»O witaj, witaj mój miły!« wołała biegnąc na przeciw męża. »Tak długoś bawił, tak późno wracasz; jam tęskniła za tobą. Ale powiedź, co tobie? czemu tak niespokojnym ciebie widzę? drżę z obawy, rozdzierającéj me serce. Powiedź, mój miły!«

»Bądź dobréj myśli, i nie miéj trwogi, a miéj cierpliwość do jutra; jutro dowiész się o wszystkiém. Z wschodzącém słońcem zejdzie tobie szczęście, na które w nocy jeszcze popracować mi trzeba. I temu to jam rad był zachować wszystko w tajemnicy, dopóki przedsięwzięcia mego nie przywiodę do skutku, i nie mówić, dopokąd nie będę mógł powiedzieć tobie: Żono moja! jesteś panią bogatą, jesteś zamku dziedziczką.« Rozalka zwróciła na męża spojrzenie, w którém zadziwienie się malowało, niespokój i trwoga.

Gdy mówić przestał, płaczliwym głosem jęła go prosić, by ją zostawił w ubostwie, w lepiance ubogiéj, dodając: »Do szczęścia nie potrzeba zamku; najwyższe, jakie ziemia dać może szczęście, zakwitnęło mi przy boku twoim, w téj naszéj nizkiéj chacie. Zostańmy, czém jesteśmy; z odmianą pomieszkania, może się nasze odmienią losy; może odmienią na gorsze...«

»Niewieściato gadka,« odrzekł Zygwult, »tobie, miła Rozalko, wzdrygać się... drży słabiuchna myśl twoja, kieby liść osiki za lada pociągiem wiaterka. Ale mnie, burza, mnie wojna nie widziała drżącego, ani wahającego się; temu spij, spij kochanie, nie pytaj, nie badaj, co dzisiejszéj przedsiębiorę nocy; nocto będzie burzliwa, ale następna wynagrodzi mi to hojnie, i miło mi będzie zasypiać, gdy się upoję miodem ze sklepów Siestrzemiła, tego nieprawego dziedzica zamku Libuszy; zamku przodków moich!«

»Wielki Boże!« zawołała Rozalka. »Zgaduję twoje zamiary.«

»Być może, iż odgadłaś to, com wypowiedzieć przed tobą nie miał chęci. Tak, dziś w nocy jeszcze napadnę i zdobędę zamek ojca mojego.«

»O Zygwulcie! upamiętaj się; jakaźto myśl szalona wstąpiła do głowy twojéj? zginiesz marnie; zostawisz Rozalkę i dziecko sierotą; porzuć te myśli burzliwe, te zamiary grzeszne. Na Boga cię zaklinam, nie narażaj twego życia, twojéj sławy...«

»Słów tych nadto,« odpowiedział spokojnie Zygwult; »znasz Zygwulta? to, co przedsiębierze, to wykonywa. Pomszczę się krzywdy dawnéj i nowéj, i prędzéj zamek Libuszy z swojego spadnie pagórka, i w Ropę się potoczy; niźli włos jeden z głowy mojéj spadnie, i ty jednego z twoich lnianych stracisz włosków; a jutro rankiem czesać i trefić je będziesz w komnacie Siestrzemiłowéj, przed blaszką źwierciadlaną, w któréj swoje własne obaczysz oblicze... O mnie bądź spokojną; Siestrzemiła nie ma w domu; wyjechał z całym dworem na gody weselne na dwór Radzisława—. I ja tam byłem, lecz przeklinam tę stopę, która mnie tam poniosła; doznałem krzywdy, niesłychanéj krzywdy... pomścić się słuszna! Słuchaj mię, powiem ci w krótkości wszystko, nim wysłany do wioski Zawiła powróci z gromadą... tę uzbrojem, na konia wsadzim i polecim; bo spieszyć mi się trzeba. Siestrzemił rankiem wróci do domu. Otóż słuchaj:

»Przejeżdżając przez Morderówkę, Radzisława dziedzinę, stanąłem tam popasem; alić przybieżał do mnie posełek Radzisława, wzywając, bym był gościem u niego na godach; boćto zrękowiny córy z młodym Garnyszem. Więc szedłem na zamek. Siła tam szlachty już było i wielu dobrych moich przyjaciół. Półdnie wybiło, zasiedliśmy do obiadowego stoła, wedle starszeństwa i godności. Lecz zaledwie zabraliśmy się do misy, drzwi się otwarły i wszedł Siestrzemił z żoną. Zrobiono dla Siestrzemiłowéj miejsce na ławce, obok Radzisława córy; Siestrzemiła w końcu stołu usadowić chciano. Ale Siestrzemił miejsca tego zająć nie chciał, i odezwał się z tém, iż woli nie siedzić przy stole, jak na miejscu pośledniejszém od tego, które ja zająłem, i jął się użalać na Radzisława, iż taką wyrządza krzywdę dziedzicowi zamku Libuszy, sadowiąc go niżéj od Zygwulta, panka na jednéj grzędzie. Powstał gwar; jedni stawali za mną, drudzy przeciw mnie; a Siestrzemił, podszedłszy mię zdradziecko, chwycił za szatę moję, i zciągnął mię z ławy. Z gniewu straciłem przytomność, a wróg, korzystając z pory, przysiadł moje miejsce, i obiema rękami chwycił i trzymał się stołu. Podnosząc się z upadku, dobyłem miecza i łeb przeciwnika mego byłby poszedł pod ławę; ale kilku z sług jego przyskoczyło, miecz mi wydarło. — Wściekły w gniewie wyszedłem z izby; za mną kilku dziarskiéj szlachty. Tam w gospodzie odbyliśmy radę. Poprzysiągłem się pomścić, przyjaciele poprzysięgli mi pomódz, i oto czekają tam nad Ropą z ludźmi swémi.«

»Z ich pomocą dokonam swego, dokonam!« dodał zgrzytając zębami. »Jak mi żywot, jak mi żona moja i to dziecko miłe, zemszczę się méj krzywdy, i zamek, który był siedzibą przodków moich, moją kolebką, odzyskam, zdobędę... Bądź zdrowa Rozalko! bądź zdrowa do ranka. W chatce dzisiaj jeszcze żegnam ciebie; jutro powitam w zamku!« To mówiąc wybiegł z izby; bo posłyszał na podwórzu tętet pędzących konnych.

Wysłany do wioski Zawiła wrócił, wiodąc z sobą kilkunastu młodych, żwawych górali.

Zygwult uzbroił każdego, upoił miodem i wsiadłszy na konia, pociągnął za sobą zbrojną drużynę. Już znikli z oczu, a jeszcze długo tętęt koni dolatywał do ucha niespokojnością i rozpaczą szarpanej Rozalki; ucichł nareszcie, cisza nastała spokojna. Ale w sercu Rozalki nie było spokoju, ani ciszy.

Noc ta, najokropniejsza w życiu, zdawała się być także najdłuższą. Bo czas orle ma skrzydło, kiedy człowiekowi błogo, i w szybkim swoim locie wyrywa nam z objęcia naszego rozkosz, wesołość, i z nią ucieka; w utrapieniu przedzierga to skrzydło swoje na leniwą stopę żółwia, i wlecze się tak powoli i ciężko, jakby sam był obciążony tym smutkiem, który nas przygniata.

Zaświtał ranek. Rozalka siedziała w progu, tuląc swe dziecię do łona; niewiasty, jéj służebne, gwarzyły między sobą, tym smutkiem pani zadziwione, bo snem ujęte twardym nie wiedziały, co zaszło téj nocy. Tętętem koni zagrzmiał las. Nie wyszła chwilka, wyjechało kilku konnych. Byłto Zawiła; zeskoczył z konia i dążył ku pani, biegnącéj na przeciw niemu, usiłującéj coś przemówić, ale trwoga, ale przeczucie nieszczęścia, związało jéj mowę:

»Zygwult! gdzie Zygwult!« zawołała zaledwie, i osłabła; służebne wsparły upadającą.

»Żyje!« przemówił sługa, »alić Bóg świadkiem, tyle was miłuje stary Zawiła, iżby wolał widzieć go na marach, wolałby sam pierwéj legnąć w grobie, jak téj dożyć chwili, téj sromoty.«

»Co się stało? powiedź!« słabym, zaledwie dosłyszanym głosem zapytała Rozalka.

»Już się stało,« odparł Zawiła.

»Przebóg! cóż się stało?« pytała służebna jedna po drugiéj, cisnąc się do starego sługi, który zamilczał, i rękawem szaty obcierał pot z czoła; po chwili temi się słowy odezwał:

»Lituję się nad wami, zacna niewiasto, i nad tém niemowlęciem, tém biedném... wspomniecie słowa starego Zawiły; na złe to wyjdzie jemu... nie ujdzie kary niebios; za grzechy męża, Bóg żonę i dziecko karać będzie. Ale już się stało; co przedsięwziął, wykonał szczęśliwie. Niesie wam oto rozkaz, ażebyście nie czekając chwili, na konia wsiedli, i na zamek spieszyli Libuszy. Zdobył go Zygwult wysiekłszy Siestrzemiła czeladkę. Wy, niewiasty, macie się zebrać co rychło i pieszo podążyć za panią. Spieszno, a ostrożnie, by po drodze nie nadybał was Siestrzemił, w którego ręce gdybyście się dostali, zrobiłby z wami to, co Zygwult z jego czeladką. Rozalka, słysząc te słowa, przyszła do siebie; bo nie przyszłość daleka, ale obawa spełnionego już nieszczęścia, dręczyła ją tyle. Chciała o więcéj jeszcze pytać się sługę, lecz ten, naganiając do pospiechu, miasto odpowiedzi podał jéj rękę i pomógł usiąść na konia, a obwinąwszy szérokim rańtuchem niemowlę, wziął na ręce, ruszył przodem; za nim Rozalka konno, niewiasty służebne pieszo.

Więcéj godzinę jechali gęstym lasem; ten rzadsze już miał drzewo, rozstąpił się na wszystkie strony, i odsłonił widok na piękną Libuszy okolicę. Ranek był pogodny, rzéka Ropa ciągnęła się wzdłuż pól zielonych, jak zagon niebieski, dobiegając zaś pod Libuszę, niby zawojem bławym opasywała wzgórek krzewiną porosły, z którego liści, wyglądał zamek do skrzyni czworograniastéj podobny, w którym okna okrągłe niby główki wbitych w nią żelaznych ćwieków, czerniły się rzędem. Przebyli rzékę; już pod bramą byli, gdy koń Rozalki, czy trwogą, czy wstrętem nieodgadnionym przejęty, stanął, i mimo chłosty i napędzania, progu bramy żadną miarą przestąpić nie chciał. Rozalka zsiadła z konia; Zygwult wybiegł jéj na przeciw, i tajemną, niepojętą bojaźnią kołysaną, wprowadził do zamku opanowanego, i po kamiennych schodach, zawiódł do obszérnéj komnaty, któréj ściany blachami błyszczały, a ławy i stoły bogatémi pokryte były kobiercami.

»Rozalko! widzisz, jam dotrzymał tobie słowa,« rzekł Zygwult, »jesteś panią zamku. »Ale znużona długą podróżą, legniéj na miękkich Siestrzemiłowéj puchach, a dziecię nasze kwilące, uspij w kolebce, z któréj wyrzuciłem Siestrzemiła niemowlę. Patrz, jeszcze ciepłe pieluszki... Nie płakało dziecko wynoszone z zamku, ale stara piastunka płakała i skomliła: »»Biedna ja niewiasta, cóż ja teraz pocznę; kędyżto biedne zanieść niemowlę!«« A jam jéj odpowiedział: Idź babo do lasu na Słobodzie; jest tam wiązka zgniłéj słomy dla matki, i kolébka próżna dla dziecka; i wytracić kazałem z bramy, i odpędzić daleko od zamku—. Lecz przezco się nie radujesz ze mną Rozalko? i płaczesz?« to znowu

do obecnego zawołał Zawiły: »I ty starcze zwiesiłeś łeb, sklepy stoją otworem; idź, nalej pełno w gardło miodu; ale pilnuj czeladki, trzeba się mieć do obrony, bo Siestrzemił nie zaśpi, i pokusi się o odebranie wydartego mu zamku; ale co Zygwult w garść pochwyci, nie puści, chyba mu rękę odetną.«

»Zeszle Bóg rękę,« przemówił Zawiła, »co waszą obetnie; wspomnicie słowa starego Zawiły. Odetną wam rękę, i wypadnie wam z garści zamek, jak liść odpada od uciętej gałęzi. Na złe wam to wyjdzie; stary Zawiła wiele już widział, i patrzał na wiele rzeczy. Za gréchem ludzkim idzie kara boska. Ach! przyszła ona za gréchem rodzica waszego; wspomnicie słowa starego Zawiły.« To mówiąc sługa szedł z izby, krokiem powolnym, zasmucony.

Zygwult udał się do komnat dolnych, gdzie w licznem gronie zgromadzeni biesiadowali towarzysze jego nocnéj wyprawy. Stali, uzbrojeni ciężko, gwarząc wesoło, dokoła dębowego stołu, na którym zastawiono dzbany z miodem, chleby i misy z mięsiwem.

Rozalka została sama w samotném rozpamiętywaniu; zaglądała trwożliwém okiem w niepewną przyszłość, a przeczucie nieszczęścia szarpało jéj łono, szepcąc jéj ostatnie Zawiły słowa: Na złe to wyjdzie! I oglądała się trwożliwie po ścianach bogatéj komnaty, dziécię swe kołysząc na ręku, jakby wzdrygała się jeszcze złożyć je w zrabowaną kolébkę obcego dziecięcia.

Dzień schylał się do wieczora, nie było słychać o dziedzicu. Noc spokojnie przeszła. Równie spokojnie kilka upłynęło dni. Zygwult dzień i noc gotowy do dania odporu; spodziéwanego nie mogąc się doczekać napadu, tuszył, iż Siestrzemił, widząc niemożność zdobycia na powrót zamku, zaniechał téj myśli. Już spokojniéj noce i dnie przepędzał, w towarzystwie gości, których hojnie cudzym raczył nabytkiem.

Piątego to wieczora Zygwult, niedźwiedzim nakryty kożuchem, leżał; niespokojne myśli odpędzały sen od powiek jego. W tém postrzegł na tle czarném obłoków czerwoną łunę; odbitém od niéj światłem rozwidniła się izba. Przelękły, odrzucił kożuch precz od siebie, na oboje zerwał się nogi, i szczeliną okienicy wyjrzał i zawołał: »Gore! gore!«

W téjże saméj chwili wbiegł Zawiła, i bawiący jeszcze w zamku goście potrwożeni, wyjąc tém okropném słowem: Gore! gore!

»Stogniewie!« rzekł jeden, »w téj stronie wasze zamczysko, nie dałbym sobie łba uciąć, jeżelito waszéj żonie, nie zaświécił tak w oczy Siestrzemił?«

»Do pięciu ran najświętszych!« zajęczał Stogniew. »Żoławiec, mój zamek! moje spichrze, moja żona. Boże wielki! zmiłuj się nade mną. Konia, konia! kto przyjaciel, ze mną!... Zygwulcie! pioruny wszystkie niech biją w Libuszę. Bóg mię ukarze za pomoc, którą dałem sprawie grzésznéj.« Przeklinając Zygwulta i żonę i dziecko, wybiegł z izby, wyjechał z zamku, i słychać było śród ciszy nocnéj brzęk podków końskich, do kołatania dzw‹o›nka podobny.

»Zygwulcie! zostańcie zdrowi,« ozwał się towarzysz drugi. »Siestrzemił ma rozum, w słabą strónę bije, ale my go nie mamy, że siedziemy i hulamy tutaj; dziedziny nasze i żony siéroty zostawiwszy same, a snadno napaść na dom i spalić, kiedy pan za domem.«

»Radźcie sobie sami; nam o sobie radzić teraz,« rzekł trzeci. »Wiécie, co starcy mówią: »»Milsze oko moje, niż cudze oboje.«« To rzekłszy, pożegnali, odjechali.

Odurzał Zygwult, bacząc, co mu się dzieje, i w piérwszéj chwili poddał się trwodze, co chwila większéj nabiérając wagi; zwątpił po raz piérwszy, ażali podoła okolicznościom, ażali będzie sam w stanie odeprzéć Siestrzemiła, gdyby téj chwili do zamku szturm przypuścił? Zdumany, wstąpił do łożnicy Rozalki, i stanął przed jéj łożem. Zawiła, wszedłszy za panem do izby, zatrzymał się w progu; ręce na krzyż założywszy, coś myślał, mruczał. Zygwult w śpiącą małżonkę wlepiwszy oko, cichym przemówił głosem: »Ona spi, tak spokojnie, tak swobodnie.«

»Kto spokojność ma w sumieniu,« odrzekł Zawiła, »ten ma sen spokojny. Rozalka nie napadała na obcą właściznę, nie skradła zamku — i wam Zygwulcie w własnéj lepiance, sen by służył spokojny, w ukradzionym zamku nie ma snu, bo spokoju nie ma.«

Głos Rozalki zbudzonéj przerwał tę mowę; spokojnym pytała się głosem niewiasta: »Czy już świta? bo taka jasność z nieba bije?«

»O Rozalko moja!« zawołał Zygwult, »wstań z łoża; nie czas teraz zalégać łoże: klęknij raczej przed obrazem Bogarodzicy, i módl się. Módl się za siebie, za dzieckiem naszém, za mną; moje myśli, obciążone zgryzotą i smutkiem nie podniosą się do niebios.«

Rozalka, nie rzekłszy słowa, wstała, postąpiła przed obraz, i uklękłszy mówiła paciérz, cicho, nabożnie. Zygwult i Zawiła stali z daleka; milczenie panowało w izbie posępnéj, któréj czarne ściany oblatywał połysk od łuny nieba odbity; zdało się, że posępna rozśmiała się izba, jakby naigrawała się ze smutku ludzi, nieprawych zamku mieszkańców. Po skończonéj modlitwie, wstała Rozalka i do okna biegła. Niebiosa coraz większą gorzały łuną; snać, pożar nie zastygał, ale zwiększał się i rozszérzał; z po za szczytów lasu buchała jakby para gorąca, rozpryskując się po obłokach: »O Zygwulcie miły!« rzekła

Rozalka, »czy ten pożar taką cię przejmuje trwogą? mniemasz może, że wiatry do nas go zaniesą? więc nie traćmy czasu, weźmy skarb nasz, dziécię nasze, i uciekajmy do naszéj lepianki na Slobodzie, a będziemy dalecy od pożaru, będziemy bezpieczni, i dośpiemy do ranka spokojnie i swobodnie.« To mówiąc wzięła za rękę mężowską, i patrzała w oko męża, czekając odpowiedzi.

Zygwult milczał długo, w końcu, jakby z letargu zbudzony, zawołał: »Nie Rozalko! nie opuszczę zamku, którego zdobycie tyle kosztowało pracy; opuściła mnie słabość, która serce moje w swoje pochwyciła sieci; gniotła mnie i miętosiła. Ha! póki ta ręka jeszcze ciała się trzyma, a żelazo ręki, przysięgam na brodę ojca! do ostatniego zdobycz moje bronić będę. Minęła słabość, Rozalko, bądź dobréj myśli; trudniejsza zdobywać, jak zdobyte dotrzymać, dotrzymam! Tak mi dopomóż... Zawiło! idźmy rozbudzić wszystko, i wysłać na zwiady kilku, a co pochwycą o Siestrzemile niech donoszą, ażebym wcześnie wiedział, co robić mam.« W progu izby zatrzymał się jeszcze Zygwult, i po namyśle rzekł do Zawiły: »Macamy po ciemku, mój bracie, w nocy strach czarniejszy; wsiadaj sam na konia i przypatrz się zblizka temu, co nas przestrasza, a wracaj co rychło i donieś, coto za pożary, i kto je rozniecił?«

Stało się, jak pan rozkazał. Zawiła odjechał w tę stronę, gdzie gorzało; innych kilku czeladzi wysłał Zygwult w inne strony; każdemu rychły nakazał powrót. Wrócili też rychło, nic nie widziawszy, nie słyszawszy. Jeden Zawiła nie wracał; kury po raz wtóry zapiały, gdy posłyszano tętet konia po lesie: »Wraca, wraca Zawiła!« wołali, i biegli domownicy na podwórze do bramy, wracającemu na przeciw. Koń pędził szybko, poznać było po mocnych i częstych uderzeniach kopyt w krzemienistą drogę. Już był blizko, ale ciemność nocna nie dozwalała dojrzéć jadącego Zawiłę: »Cóż tam Zawiło!« wołali na wjeżdzającego już do bramy. Nikt nie odpowiedział; albowiem koń powrócił, ale bez jezdca.

Trwoga przejęła wszystkich. Zygwult zadumał się, i zasmucił. Jeden ze służebnych zawołał: »Rozkazcie, ja polecę, do miejsca dotrę, i jaką pochwycę wiadomość, taką wam przyniosę.«

Zygwult skinął czołem; a sługa rad z polecenia, rzucił się na konia, i popędził w tę stronę, w którą pojechał był Zawiła i nie wrócił.

Godzina upłynęła czasu — wysłany przybieżał z powrotem. Cwałem gonił, i spiesznie, bo koń skoro przyniósł posłańca nazad do zamku, padł na wszystkie nogi, zadrgał cielskiem, i nie wstał więcéj. Sługa, przez chwilę długą słowa do ust wynieść nie mógł; szamotał się daremnie rękoma pomagając sobie; zaledwie to jedno wyjąkał: »Tatarzy!«

Przerażająca ta wiadomość wkrótce potwierdzoną została; albowiem rozległ się po cichości nocnéj odgłos dzwonów dalekich, do wycia ranionego źwierzęcia podobny, i wkrótce potém okropna rozszérzała się wrzawa ludu, uciekającego przed Tatarami, którzyto najezdcy po raz drugi w polskie wpadając kraje, jéj mieszkańcom znani, straszni byli. Przed 20 laty albowiem dzicz ta wschodnia poraziwszy wojsko polskie pod Chmielnikiem, rozlała się po całéj krainie. Bolesław Wstydliwy, książę, berło krakowskie naonczas dzierżący, przymuszonym był w sąsiednim Węgier kraju szukać schronienia, a opuszczone miasta i zamki bez obrony poszły na zniszczenie i łupież — mięszkańce w łyka tatarskie. Powtórna ta Tatarów tłuszcza, prowadzona przez Jeleboga i Nogaja; wpadła z Rusi Czerwonéj, i dzieląc się na kilka szlaków, rozsypała się po kraju całym, pamiętane jeszcze w kraju okrucieństwa i rabunki powtarzając. — Pochód Tatarów był tak szybki i nagły, iż z uciekającymi równo pędzili ścigający, i często nie piérwéj dowiedziano się o ich napadzie, aż wtenczas, kiedy do ucieczki już nie było czasu, ani sposobu.

Noc ta okropna była, scena przerażająca. Te tłumy rozpaczającego ludu, te krzyki, wołanie jednych, jęki i płacze drugich, budziły głośną, okropną wrzawę. Cała tłuszcza doszedłszy do zamku, zatrzymała się w pochodzie, i otoczywszy go, przeraźliwym wołała głosem: Tatarzy, Tatarzy! uciekajcie!«

Zygwult, którego dusza na widok niebezpieczeństwa w całéj swojéj rozwijała się mocy, nie stracił przytomności, ni odwagi; owszém dodawał jéj rozpaczającym, i gotowy najeżdzcom silny dać odpór, obiegał po zamku, rozstawiał strażników, baczność, przezorność zalecając wszystkim... Nadaremne były prośby Rozalki, jéj zaklinanie i rada, aby zamek Libuszy opuścić, i we własnym domku, w gęstym nieprzebytym lesie ukrytym, szukać schronienia. I daremnie usiłowała ona przekonać męża, że licznéj Tatarów hordzie sam niepodoła, że w gruzach zamku czeka ich śmierć, albo gorsza od śmierci, czeka ich niewola. — Zygwult w przedsięwzięciu stały i niezachwiany, od zamiaru bronienia zamku nie odstąpił.

Nie długa upłynęła chwila, kiedy uderzyły z dołu krzyki okropne — i cała tłuszcza, zalegająca pole przedzamkowe, zrywała się, i uciekała bezładnie, do rozburzonego mrowiska podobna. Tatarzy już pod zamkiem byli, już wdziérali się wraz z uciekającymi w podwórzec zamkowy — kłując i mordując ostatnich, i na włócznie swoje chwytając, wydziérali z objęcia matek drobne niemowlęta, i wyrzucali w powietrze, okrutnie mordując.

Rozalka w izbie swojéj z dziecięciem u łona, klęczała, modliła się, kiedy Zygwult z mieczem skrwawionym wpadając, zawołał: »Zginęliśmy!... Rozalko! nié ma ratunku. Nie żal mi żywota; ale ciebie biédną żałuję, i boleję patrząc na to dziécię niemowlę. Jam to niemądry, na wasze głowy sprowadził to nieszczęście, a zaradzić temuż nie mogę. Nie,« dodał, »oczy moje widziéć nie będą, co się daléj stanie; moje oczy widziéć tego nie chcą, nie mogą!«.

Rozalka, piastując dziécię swoje, po odbytéj modlitwie powstała, i spokojnym głosem przemówiła do męża: »Zygwulcie! skończyłam moję modlitwę, teraz niech żywot mój zakończę. Mężu! dozwoliszże Tatarom, żeby żonę twoję powiedli w jasyr... na hańbę i sromotę; więc odbierz mi życie, które obronić nie możesz.«

Słysząc te słowa Zygwult, podniósł miecz swój do góry, i nadludzką uniesiony wściekłością zamierzył raz jeszcze stanąć w obronie, już nie zamku, ale w obronie żony i dziecięcia; lecz w progu izby miecz wypuścił z bezwładnéj ręki; stanął i westchnął boleśnie: »Daremne chęci — ja ranny jestem; tatarska strzała rozdarła i skrwawiła prawicę moję. Nie obronię ciebie... Rozalko! poleć się Bogu!...«

Po zamku, przez Tatarów opanowanym, coraz większa rozlegała się wrzawa; dzikie pogańów krzyki i piski — a jęki, wyrzekania mordowanych, w okropną, zgrozę obudzającą składały się muzykę, któréj głuche echo dobiegało do izby, gdzie Zygwult, i żona jego Rozalka, z całém poświęceniem się okropnemu losowi, wyglądali co chwila — ostatniéj chwili życia.

Nagle rozpadły się podwoje, i wbiegł do izby uzbrojony mieczem starzec nieznany:

»Ze mną idźcie, ze mną!« wołał, »wyprowadzę was z zamku. Spieszmy się; czas krótki.«

Zygwult, wpatrzywszy się w nieznajomego oblicze, rzekł: »Zdrajco! ja znam ciebie; tyś Siestrzemiły sługa, ty mię prowadzić chcesz? chyba na ostrze Tatarów, na śmierć — ja nie pójdę z tobą!«.

»Więc ty przynajmniéj niewiasto biédna, zaufaj mię poczciwemu, i spiesz się, ratuj siebie, ratuj dziécię, póki czas po temu; Tatarzy rabunkiem zajęci w téj chwili; spieszmy, wkrótce za późno będzie.« Rozalka spojrzała w oko starca; po krótkim namyśle, skinęła głową; pochwyciła za rękę męża, na drugim trzymając niemowlę, biegła za przewodnikiem, i opiérającego się ciągnęła za sobą Zygwulta. Kilka przebywszy komnat, tajnémi drzwiczki wstąpili po schodach do ciemnego sklepu; z tamtąd, podziemnym idąc krużgankiem, wyszli na miejsce otwarte; ujrzeli się w miejscu dokoła gęstémi krzakami osłoniętém; już w lesie byli. Przewodnik nie wstrzymywał kroku, owszem naglił do pochodu. Za nim szła Rozalka z dziecięciem, Zygwult za niémi postępował zadumany; ale przebytémi trwogi, a więcéj upływem krwi z rany nieopatrzonéj, wycieńczony i osłabły, na własnych nie mogąc się utrzymać nogach, zachwiał się — padł na ziemię. Przybiegła Rozalka; już Zygwult leżał bez zmysłów, a piersi jego biła słabo — i coraz słabiéj i ciszéj. Przelękła żona załamała ręce; omdlałego jęła trzeźwić łzami swojémi; Zygwult nie przychodził do siebie, i znaku życia nie dawał żadnego.

* * *

Doba jedna upłynęła od téj chwili. Zygwult budząc się ze snu omdlenia, i otwiérając powieki ciężkim snem ciśnięte tak długo, ujrzał się w miejscu obcém, inném.

Byłato pieczara jakaś podziemna, w skale wykuta. Księżyca światło, otworem szérokim rozlewając się po pieczarze téj ciemnéj i głębokiéj, oświecało twarz człowieka, siedzącego obok Zygwulta. Twarz tę poznał Zygwult — i zadrżał na całém ciele; zadrgała prawica jego, jakby źwierzęcim instynktem wiedziona, poczęła szukać wedle siebie oręża; ale oręż nieużytecznem już był narzędziem dla ręki, strzałą tatarską rozdartéj, pozbawionéj władzy. Więc trwoga ogarnęła go, i groza, podniósł głos słaby, przemówił:

»Czyto szatanów igraszka? czyli marzę jeszcze? Siestrzemiła, wroga mojego, widzą moje oczy?«

»Jam Siestrzemił,« odpowiedział tamten. »Tyś napadł na mój zamek, wydarł go zdradziecko; pomordował czeladę, i wyrzucił z kolébki dziécię moje?«

»To się stało, tom uczynił!« rzekł Zygwult; »jestem teraz w twojéj mocy. Mściéj się do woli, zabij mię! ale powiedź wprzódy, gdzie Rozalka, gdzie dziecko moje? a jeżeliś zamordował je, powiedź, gdzie leżą zabite, pokaż je piérwéj, a potém mnie dobij!«

Nato przemówił Siestrzemił: »Podnieś się z posłania i rzuć okiem po téj pieczarze; ciemna jest i okropna, a przecież lepsza od zamku Libuszy, bo ubezpiecza od Tatarów zgrai. Zamek Libusza, którego zdobycie tyle cię kosztowało pracy, dzisiaj w ręku poganów. Pytasz się o żonę? czyliż nie widzisz tam Rozalki? spoczywa nieboga po długich czuwaniach, trudach i niespokojnościach o ciebie; błąkającą się po lesie przyjąłem; słabą posiliłem chlebem i mlékiem, — i ciebie omdlałego na barkach moich do tego schronienia naszego przywlókłem. Chceszli swoję obaczyć dziécinę? wstań, zbliż się; obaczysz tam w koszu, śpi dziécię twoje razem z mojém dzieckiem.., robaczki niewinne, ściskają się rączkami, usteczkami całują.«

Zygwult milczał długo. Promień księżyca zaiskrzył się w kroplach z oka mu płynących;

do Siestrzemiła wyciągnął rękę; ten mu na wzajem podał swoję, i uściskali się dwaj wrogi.

Milczenie długo trwało; poczém Siestrzemił tak mówił: »Zygwulcie! braćmi jesteśmy, bośmy syny jednego kraju — dzisiaj nieszczęście...« nie skończył Siestrzemił, bo obudzona w téj chwili Rozalka, zerwała się i biegła do męża. Wielka tam radość była i długa, a przyjaźń dwóch wrogów wieczna. JADAM Z ZATORA.

— Ze Lwowa. —

W drukarni tutejszéj J. Schnaydera wyszła książeczka, mająca napis: *Catalogus sociorum et officiorum Provinciae Galiciae austriacae Societatis Jesu, anno* 1834 *ineunte;* w 8ce. Podług tego katalogu mieli jezuici, prowincyi galicyjskiéj, kolegijów cztéry, t. j: w Tarnopolu, Staréjwsi, Nowym Sączu i w Gradcu, w Styryi; missyj ośm, jakoto: w Gurahumora, Jakobeny i t. d. w Koczmanie i Zastawnej, w Nadwornej i Kossowie, w Liczbowach i Sidorowie, w Pieniakach (w arcyd. lwow.); w Łańcucie, Przemyślu i Polanie (dyj. przemys.); w Tuchowie i Staniątkach (dyj. tarnów.). W kolegijach mieszkało towarzyszów 162, na missyjach zaś osób 40; razem osób 202. Towarzyszy prowincyi niegdyś białoruskiéj mieszkało w różnych częściach świata, jakoto: w Rzymie 3, w prowincyi rzymskiéj 34, w pr. taurynéńskiéj 24, w pr. francuzkiéj i portugalskiéj 9, w pr. neapolitańskiéj 3, w pr. wyższych Niemiec 7, w pr. belgijskiéj i angielskiéj 2, w Krakowie 1, na wyspach egejskich 3, w Ameryce 4; razem osób 90. Umarło zaś od r. 1820 do r. 1834 towarzyszów prowincyi niegdyś białoruskiéj, dziś galicyjsko - austryjackiéj, w różnych prowincyjach, jakoto: w Rossyi 4, we Włoszech 17, w Galicyi 47, we Francyi i Portugalii 10, w wyższych Niemczech 5, w Ameryce 6, w Irlandyi 1; razem osób 90. Z tych między rokiem 19 — 30 życia swego umarło osób 10, między r. 30 — 60 osób 40, między r. 60 — 70 osób 17, między 70 — 80 osób 13, między 80 — 90 osób 9, między 90 — 95 osób 2. Najdłużéj z nich żył ks. Hieronim Haraburda, urodzony r. 1725, umarł w lipcu r. 1820, w Czeryi na Białéjrusi; najmłodszy zaś Wincenty Jastrzębski, urodzony r. 1802, umarł 1. marca 1821 w Reggio we Włoszech. Imiona zmarłych w Ameryce są: Ks. ks. Franciszek Malevé, Jan Henry, Adam Britt, Maxymilijan Rantzau, Wilhelm Feiner, Piotr Epinette; w Irlandyi ks. Kazimiérz Hłasko; we Włoszech ks. Aloizy Rusnaty, Jan Leszczyński, Winc. Jastrzębski, Winc. Karpiński, Jan Gutowski, Dawid Dąbrowski, Kazimiérz Krzemieniecki, Wawrzyniec Dunin, Stefan Siwocha, Michał Kirkor, Wincenty Korsak, Jan Vogt, Felix Hryckiewicz, Ignacy Pietroboni, Klemens Piotrowski, Stanisław Siwocki; we Francyi: Jan Ploquin, Marek Follope, Xawery Czarnocki, Jan Dessoziers, Jan Billy, Franciszek Gavot, Karol Lefebvre, Jan Fessard, Józef Coince. Towarzysze prowincyi niegdyś białoruskiéj, mieszkający w prowincyi rzymskiéj: Jan Roothan jenerał, Aloiz. Landes, Jan Rozaven, Alex. Wasiutowicz, Ant. Grocholski, Ant. Kohlmann, Kar. Janiszewski, Eust. Sinkiewicz, Franc. Obrąpalski, J. Swaracki, Ign. Chodykiewicz, Józ. Leniewicz, M. Spichalski, Romuald Suszyński, Winc. Leśniobrocki, Alex. Saprynowski, Ant. Proniewski, Aug. Czarnocki, Korneli van Everbrock, Fr. Niewiarowski, Jan Dobroszyński, Józ. Dmowski, Mar. Kamieński, Paw. Dłotowski, Teod. Mikłaszewski, Józ. Maculewicz, Tom. Ostaszkiewicz, Ad. Ksiniewicz, Ant. Leitner, Ign. Czyhir, Jan Michałowski, Józ. Skabicki, Ad. Ławrynowicz, Kaz. Turski, Ign. Molski, Jan Plewiński, Maciej Drykszew. Na wyspach egejskich (na grec. archipelagu): Idzi Henry, Tad. Kuczyński, Domin. Osmołowski. W prowincyi taurynéńskiéj: Ant. Kirkor, Baz. Stankiewicz, Greg. Felkierzamb, Ign. Pietrzkiewicz, Ign. Poczobut, J. Żydowicz, Józ. Suryn, Sim. Okuszko, Ad. Lesiecki, Kar. Chreptowicz, Jak. Jourdan, Jan Grassi, Jan Starzyński, Józ. Cych, Max. Felkierzamb, Winc. Kładniewski, Kar. Pniewski, Ign. Raduszkiewicz, L. Poczobut, Hil. Odachowski, J. Sokołowski, Sew. Jankowski, J. Wysocki, Mich. Matuszewicz, S Lichtenstern. W prowincyi neapolitańskiéj: Ign. Rożanka, Rajm. Brzozowski, Andr. Oberlin. W prowincyi francuzkiéj: Karol Balandret i Kar. Gentil (w Szwajcaryi), Jerzy Kułak (w Portugalii), Ign. Budźko (we Włoszech), Jan Nep. Galicz (w Szwajcaryi), Józ. Siedmiogrodzki i Roman Czerkas (we Włoszech), Kar. Liouville (we Francyi). W prowincyi wyższych Niemiec: Fryd. Krupski, J. Brückner, Hen. Guillemaint, Gasp. Lederle, Jak. Kemp, Wilh. Spickhoff, Jan Wörzinger. W prowincyi belgijskiéj: Jan Coervers, Józ. Peeters. W Krakowie: Michał Leśniewski. W prowincyi angielskiéj: Norbert Korsak. W Ameryce: Bonifacy Krukowski, Franciszek Dzierożyński, Fidelis Grivel, Filip Beatrixi Sachi. S. P.

Z listu z Krakowa. Wyszły tu u nas piérwszy i drugi zeszyt »Powszechnego Pamiętnika nauk i umiejętności,« na miesiąc kwiecień i maj r. 1835, obejmują następujące przedmioty: Zeszyt I. 1) Nowa epoka poezyi polskiéj. 2) Sławiańszczyzna (o Bojach, najstarożytniéjszym w ziemi czeskiéj narodzie). 3) Wojsko polskie pod Wiédniem w r. 1683. 4) Podróż do Tatrów. 5) Statystyka skarbu znaczniéjszych państw Europy i Zjed. St. Ameryki półn. 6) O cieple jestestw organicznych. 7) O chorobach właściwych rozmaitym narodom kuli ziemskiéj. 8) Dzieje statków parowych. 9) O napojach dla mieszkańców wiejskich. 10) Pożytki dzikich kasztanów. 11) Kronika literacka (literatura polska od początku 1832 r. do czasów dzisiejszych. 12) Wiadomości statyst. liter. przemysł. i t. d. Zeszyt II. 1) Nowa epoka pezyi polskiéj (poezyja oryginal. i sławiańska). 2) Nodam, powiastka litewska. 3) Sławiańszczyzna. O starodawnym pobycie Sławian w Europie. 4) Opis doliny Kościeliska. 5) O ocenianiu stanu umysłu, za pomocą znamion zewnętrznych. 6) O chorobach właściwych rozmaitym narodom kuli ziemskiéj. 7) O oknach różnobarwnych w kościele P. Maryi w Krakowie. 8) O kolejach żelaznych w Zjed. St. Amer. płn. 9) Kronika literacka (literatura polska i sławiańska, rozbiór dzieł nowo wyszłych. 10) Wiadomości naukowe (literackie, historyczne, statystyczne, lekarskie). Trzeci zeszyt wyjdzie w połowie czerwca.

Wyimek z własnego wyznania Napoleona o młodości swojéj. »Pamiętam to dobrze (mówi tenże), jak pewnego wieczora zasnąć nie mogłem, a moja mamka różnémi baśniami uśpić mię chciała, a nareszcie zniecierpliwiona rzekła do mnie: »Ejże Napoleonku, bądź cicho, i uspokój się, a ja ci dam za to, jak wyrośniesz, królestwo Korsyki.« A dasz mi i Francyję? rzekłem. »Dam ci i Francyję.« — A daszże mi i świat cały? — »Dam ci i świat cały, tylko uspokój się, i chciéj zasnąć, bo możeby się tobie jeszcze i Boga Ojca zdetronizować zachciało.« To przyrzeczenie Sawery, imię mamki mojéj, tak mocno mój umysł dziecięcy zajęło, żem już wpół śpiący, jeszcze sobie powtarzał: Ja będę królem Korsyki, Francyi, i świata całego; ale ja nie będę niczego więcéj pragnął, bo musiałbym samego Boga Ojca detronizować.« — Na inném miejscu mówiąc Napoleon o swojéj młodości, dodaje: »Byłem bardzo ciekawy; chciałem koniecznie wiedzieć przyczyny tych cudów natury, które mię otaczały, chciałem wiedzieć stan kraju i t. p. Moje nieustanne pytania wprawiały w kłopot mojego pra-stryja Lucyjana, któremu się upodobało widzieć we mnie wielkie światło dla kościoła świętego: »Ten chłopiec,« zwykł on

mawiać: »będzie kiedyś archidijakonem, a może biskupem lub kardynałem. Czy chcesz ty, Napoleonku, być papieżem?« zapytał mię razu jednego. »Nie chcę nim być,« odpowiedziałem, »ja chcę być królem Korsyki i Francyi.« — »No! i to jest coś przecież!« odrzekł Lucyjan śmiejąc się.«

W biblijotece paryzkiéj wynaleziono rękopismo, które już od dawnych czasów za przepadłe było miane; jestto dyjalog Tacyta, który niegdyś był własnością pana Pithona, słynnego prawnika.

Nie dawnémi czasy między dwoma naczelnikami indyjskich Nachtezów był pojedynek, o którym francuzkie pisma następne szczegóły donoszą: Chalgas, jeden z pojedynkujących, otoczony swoją rodziną przybył śród jasnego dnia do miasta przeciwnika swego; był w szkaradny sposób pomalowany, i cały czerwono wyglądał. W prawéj ręce niósł on strzelbę, którą w różny sposób w powietrzu wywijał, w lewéj trzymał flaszkę; dwóch przyjacioł szło za nim wolnym krokiem. Wkrótce pojawili się inni Indyjanie, po środku których znajdował się równie przesadnie pomalowany mężczyzna, któremu się jedna z niewiast wieszała na szyi, jak gdyby go wstrzymywać chciała. Razem wyrwał się on z jéj ramion, i stanąwszy na kilka-dziesiąt kroków od Chalgasa, obnażył pierś swoję. Chalgas przyłożył strzelbę do twarzy, wycélował, i znowu ją odłożył; chwycił za flaszkę, która u jego pięści wisiała, i pił z niéj, a nieprzyjaciel jego stał, jak wryty, i ani się ruszył. Gdy się już napił, porwał znowu strzelbę do ręki, wycélował, wydał krzyk okropny, i wystrzelił, a tamten padł trupem na miejscu. Chalgas nabił znowu strzelbę, dał ją synowi zabitego, i przyjął krwią zimną kulę w gołą pierś swoję! Ci dwaj naczelnicy wiedli kłótnię o flaszkę, wyzwali się o nią na pojedynek; w ten sposób uczynili zadość sobie. O dziwaczne szaleństwo wykrzywienia rozumu ludzkiego!

Pośród licznych w mieście Rzymie odbywających się uroczystości, jest jedna, która z pięknem niebem jego wcale się nie zgadza; jestto *Festa de' morti.* W dzień téj uroczystości idą tak zwani *sacconi,* czyli kapturnicy, w processyi do ołtarzów męczenników w Coliseum; przed nimi niosą duży krzyż, narzędziami passyi obwieszony, przy krzyżu idzie dwóch zakapturzonych, którzy trupią głowę i kości zmarłych niosą. Pod kościołem *St. Maria dell' Oratione,* nie daleko pałacu Farneze, znajduje się podziemna kaplica, którą przy téj okoliczności czarnym kirem ostaniają, a jéj ołtarze w rozmaite żałoby są ozdobione. Przy ścianach kaplicy stoją kupy kości zmarłych, podług prawideł architektonicznych ustawione, a po środku stoi duży, cyprysami ocieniony katafal, na którym widzisz rozmaite wyobrażenia śmierci, widzisz serca, gwiazdy, arabeski, trójkąty i t. d. z kości ułożone; nawet naczynie, w którém woda święcona, nie jest nic innego, jak tylko trupia głowa! Aby te zgrozę jeszcze bardziéj powiększyć, przynoszą ciało świeżo zmarłego człowieka, u którego nóg stawią trupią głowę, jako puszkę jałmużną. Ta uroczystość trwa przez cały tydzień, a księża dzień i noc jutrznię śpiéwają.

Pewien Żyd, mając na sprzedaż okulary, zachwalał je pewnemu elegantowi, który włożywszy je na nos, wpatrywał się w sprzedającego i w innych Żydów, obok stojących, a potém rzekł: »Ej do licha! to są dziwne okulary; nic przez nich nie widać tylko samych oszustów!« Żyd odebrał okulary z wielką obojętnością, i włożywszy je sobie na nos, wpatrzył się podobnież w wiercipiętę, i zawołał: »Wielka prawda! to są dziwne okulary, szkoda tylko że bardzo zmniejszają!«

Przywilej aptékarza Roux w Paryżu na jego sposób leczenia boleści zębów już się skończył, a francuzkie dzienniki ogłaszają teraz receptę, która jest następującą: Jednę część liści i kwiatu *inula bifrons,* 4 cząstek kwiatu *spilanthus oleracea,* jednę część *pyrethrum* (zębne ziele) i 8 części 33 stopniowego wyskoku. Skoro już twardsze części, każda oddzielnie, utłuczone zostaną, włożyć je w naczynie i szczelnie przykryć; dać im przez dni 15 moknąć, poczém je przez bibułę przecedzić (filtrować) i w mocno zatkaném naczyniu trzymać.

Pan Fournel odkrył przypadkiem bardzo prosty sposób wygubienia pluskiew, zasadzający się na sile przyciągania, jaką wywiéra na ten owad, powszechnie u nas znana roślina pieprzyca murowa, inaczéj psią zwana (rzeżucha polna, *Lepidium ruderale).* Rośnie ona wszędzie po nieuprawnych polach, na starych murach, zwaliskach, a nawet i ulicach; woń ma nieprzyjemną, do czosnku podobną; wysuszona, zwłaszcza dobrze podrosła (nieco już z drobném nasieniem) nie traci swéj ostréj i gryzącéj własności. Roślina ta wysuszona, umieszczona w zapluskwionym pokoju, pokryła się tym owadem; znaleziono na niéj wszystkie pluskwy zdechłe, te zaś, które jeszcze nie zginęły, tak były otrętwiałe, że je z łatwością w ogień wrzucono. Jezli ten sposób pana Fournel zostanie dalszémi doświadczeniami utwierdzony, będziemy raz przecie uwolnieni od jednéj z dotkliwych plag. *(Journ. d. connaiss. utiles.* 1835, N. 3.)

Sposób ochronienia zaciéru od skwaśnienia. Zależy on na użyciu nadwęglanu sody *(Natr. carbonicum acidulum),* który dodany do zaciéru w pewnym stosunku, nie tylko że go chroni od przejścia w fermentacyję kwaśną, ale nawet nie staje bynajmniéj na przeszkodzie fermentacyi winnéj. Na 600 kwart bierze się w przecięciu 3 do 4 łutów téj soli, rozpuszcza w wodzie i z zaciérem miesza. Wywinąć się przy tem działaniu mogący kwas octowy złączy się z sodą, kwas zaś węglowy, który był z tą ostatnią związany, oddzieli się w stanie gazu i ujdzie. (Z pisma: *Land- und Forstwirth. Zeitsch. für Norddeutschland.)*

Lekarstwo na młodych graczów. Pewien ojciec postrzegł w synu swoim wielką namiętność do gry w karty, dla któréj tenże zarzucał nauki mimo wrodzonych talentów. Zapobiegając zgubie młodzieńca wymyśla takie lekarstwo: na miejscu dawnych nauczycieli, przyjmuje wyćwiczonych szulerów, i każe synowi swemu dawać lekcyje gry: wista, pikiety, diabełka, faraona, lombra i t. d. Godziny zaczynają się o świcie, kończą z nocą; młodzieniec gra bez ustanku — już mu się gra przykrzy, już błaga aby mu dawnych powrócono nauczycieli; lecz na próżno! Sześć miesięcy musiał na niemiłéj spędzić nauce, i dopiero na wielką prośbę, kiedy ojciec postrzegł, że już z gruntu wyleczony, kazał go uczyć na pożytecznego człowieka.

Początek dziesięcin w Anglii. Historyczny dokument, na mocy którego kościół angielski otrzymał prawo wybierania dziesięcin, brzmi w następny sposób: »Ja Etelwolf z bożéj łaski król Anglosaxonów i t. d. za zgodą wszystkich biskupów, hrabiów i innych znakomitych osób w moich państwach, ku zbawieniu duszy mojéj, ku dobru ludu i szczęściu mego kraju stanowimy, ażeby dziesiąta część gruntów w naszém państwie stała się własnością kościoła i sług religii; wolno im używać takowych ze wszystkiémi przywilejami wolnych posiadaczy ziemskich, nie podlegając opłatom podatkowym, jakie na dobrach lennych wszystkich świeckich braci ciężą. Takowe rozporządzenie dajemy na cześć Jezusa Chrystusa, pana naszego, na cześć błogosł. Maryi Panny i wszystkich Świętych, jak i z wielkiego nabożeństwa do uroczystości Wielkanocnéj, oraz w téj myśli, że Pan Wszechmocny na nas i naszych potomków zleje swoje błogosławieństwo. Dań w Wiltonie roku pańskiego 854, w dniu Wielkiéjnocy.«

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.